

CZAS ZWYCIĘSTW: RACŁAWICE I WARSZAWA

„Za samą szlachtę bić się nie będę, chcę wolności całego narodu i dla niej wystawię tylko me życie”.

Słowa Kościuszki skierowane do spiskowców podczas narady w Podgórzu we wrześniu 1793 roku.

W Krakowie Kościuszko zabawił jedynie kilka dni. Powstańczy karnawał przysięg, odezw i fet trwał do 26 marca. Tego dnia nadeszła wieść o zwycięstwie oddziału pościgowego pod komendą Jana Ludwika Mangeta, byłego paza Stanisława Augusta, wysłanego w ślad za Łykoszynem. To było niewielkie starcie i niekoniecznie zakończone stanowczym sukcesem, ale informacja o nim zelektryzowała powstańcze władze i błyskawicznie trafiła do mieszkańców. Ale do Krakowa dotarły także meldunki o nadchodzących od strony Warszawy carskich oddziałach generała Aleksandra Tormasowa, ścigającego Madalińskiego, oraz innych jednostkach maszerujących w kierunku Krakowa. Na początku kwietnia doszło do ich połączenia w Skalbierzu pod ogólnym dowództwem generała Fiodora Denisowa i można było się spodziewać, że Rosjanie nie zrezygnują z dalszego marszu na południe. Brak przeciwdziałania mógł

zakończyć się zablokowaniem Kościuszki i zgromadzonych przez niego sił w mieście i w praktyce zduszeniem powstania, nim jeszcze rozlało się ono na inne rejony Rzeczypospolitej. Naczelnik po konsultacji z wyższymi dowódcami postanowił bez zwłoki ruszyć naprzeciw Denisowa i wydać mu bitwę. Po opuszczeniu Krakowa i połączeniu się ze wszystkimi dostępnymi jednostkami, w tym z oddziałami Manęta i Madalińskiego, dysponował 4 tysiącami regularnych żołnierzy, głównie jazdy, oraz 1900 pikinierami i kosynierami i 12 armatami. Siły te podzielił na dwie dywizje pod komendą Zajączka i Madalińskiego i 3 kwietnia dał rozkaz do wymarszu. Denisow opuścił Skalbierz nocą następnego dnia. Jego wojska nieznacznie, zaledwie o 500 ludzi, ustępowały liczbą nieprzyjacielowi. Carski generał tak bardzo był pewien sukcesu, że postanowił podzielić je na dwa zgrupowania — liczące ponad 3 tysiące żołnierzy pod swoim osobistym dowództwem oraz Tormasowa, i zaatakować wroga z dwóch stron. Pierwszy z nich miał uderzyć od północy, drugi od południa. W tak przyjętym planie czaiło się wielkie ryzyko; gdyby jedno ze zgrupowań nie weszło do walki w odpowiednim momencie, drugie musiałoby stoczyć bitwę z dwukrotnie liczniejszym nieprzyjacielem. I tak się stało, gdyż Denisow źle obliczył czas i zbyt późno rozpoczął manewr oskrzydający. Rankiem idące z Koniuszki oddziały Kościuszki natknęły się na jednostki Tormasowa. Doszło do utarczki obu straży przednich. Po wykonaniu zwiadu i kilku manewrów Naczelnik postanowił zająć pozycje na przedpołu wsi Dziemierzyce, mając przed sobą odległe o kilka kilometrów Raclawice i trzy mniejsze wsie, przed którymi ustawili się Rosjanie. Zajęli świetnie nadającą się

do obrony pozycję na górujących nad okolicą Wzgórzach Kościejowskich, mając na dodatek przed sobą naturalnie zabezpieczającą je niewielką rzeczkę Ścieklec. Jak napisał Herbst w książce *Z dziejów wojskowych powstania kościuszkowskiego 1794 roku*, „Działania zaczepne ze strony polskiej nie miały żadnych widoków powodzenia”. Mogły co najwyżej przynieść ogromne straty bez szans na sukces. Kościuszko umiejętnie i z wyczuciem wykorzystał walory pofałdowanego terenu. Za pierwszą linią stworzoną przez piechotę w centrum oraz kawalerią Zajączka na lewym skrzydle i Madalińskiego na prawym, za pagórkiem ukrył dowodzonych przez generała majora ziemiańskiego Jana Śląskiego kosynierów, przeznaczając im rolę strategicznego odwodu. Przed frontem polskich oddziałów stanęły dwie baterie armat. Oba wojska przez cztery godziny stały frontem do siebie, nie podejmując walki. Zamiary Tormasowa wydawały się oczywiste — czekał na przybycie Denisowa. To były wyjątkowo ciężkie godziny dla młodego polskiego wojska. W szeregach narastały zdenerwowanie i niepewność. Kościuszko obserwował nieprzyjacielskie pozycje i zagryzał zęby z wściekłości, nie mogąc nic zrobić. Dysponując wyraźną przewagą liczebną, nie był jednak w stanie jej wykorzystać, gdyż czołowy atak na pozycje Moskali musiałby utonąć w ich ogniu i zakończyć się niechybną katastrofą. Wydawało się, że Polacy znaleźli się w potrzasku. Byli skazani na ruch ze strony wroga, który mógł spokojnie oczekiwać na Denisowa. Około godziny trzynastej Tormasowa zasilili nadesłany przez niego z pomocą batalion grenadierów. Jego dowódca, podpułkownik Tomatis, przywiózł ze sobą rozkaz do zaatakowania przeciwnika. Wydając go, Denisow okazał

się człowiekiem tyleż mało rozsądnym, co niecierpliwym. Jednym nieprzemyślanym maźnięciem pióra na skrawku papieru przekreślił posiadaną przez jego wojska taktyczną przewagę. Decydując z oddali, nie miał gwarancji nadejścia na czas na pole walki i nie brał pod uwagę sytuacji, w jakiej znajdował się jego podkomendny, i w praktyce skazywał go na utratę posiadanych atutów. Rozkaz wywołał konsternację Tormasowa, który nie wiedząc, co począć, zwołał naradę z udziałem swoich wyższych oficerów. Po burzliwej rozmowie z podkomendnymi postanowił wykonać polecenie i samodzielnie rozpocząć bój. Tormasow mocno wierzył we własne umiejętności i w wyższość swoich żołdatów nad polskimi żołnierzami, których lekcewał. Pycha i zła ocena wroga miały wystawić mu słony rachunek. Gdyby zaczekał i Naczelnik dostał się w kleszcze wroga, powstanie — wielce prawdopodobne — już tego dnia przeszłoby do rozpaczliwej obrony. Wydał jednak rozkaz do boju i dwie kolumny jego żołdatów ruszyły na polskie pozycje, dając insurekcji szansę na pierwszy znaczny triumf. Silniejszą z nich, prowadzącą atak w centrum i dysponującą niemal całą artylerią, dowodził osobiście Tormasow. Drugą, operującą na prawym skrzydle, komenderował podpułkownik Pustowalów. Jego zadanie polegało na uderzeniu w nieprzyjacielską lewą flankę, rozbicie jej i połączenie się w walce z główną kolumną. Generał nie silił się na finezję i przystąpił do walki według schematu stosowanego przez niemal wszystkich moskiewskich wodzów. Po nawale artyleryjskiej z dziesięciu lub jedenastu dział rzucił do szarży na polskie pozycje część swojej jazdy. Dziesięć szwadronów brygady II małopolskiej pod Mangetem ugięło się najpierw pod wściekłym atakiem

huzarów, jebrów i Kozaków dońskich, a potem, poza jednym, runęło do bezładnej, panicznej ucieczki. Niektórzy z jeźdźców dotarli nawet do Krakowa i rozpuścili wieść o zupełnej klęsce oraz śmierci Kościuszki. Wykorzystując powodzenie, Tormasow natychmiast przeniósł ogień na polską piechotę i również w jej szeregi wkradło się zamieszanie. Na szczęście ów jedyny szwadron, który nie uległ panice, prowadzony przez bohaterskiego chorążego Nevé, ruszył do kontrataku. Zapewne dzięki temu i doskonale kierowanemu ogniewi armatniemu Naczelnikowi udało się powstrzymać nieprzyjacielskie uderzenie i zmusić Rosjan do odwrotu. W późniejszym raporcie Tormasow miał stwierdzić, że „Działanie artylerii nieprzyjacielskiej powstrzymało nasze natarcie. Było ono wprost okrutne”. Tymczasem, po ochłonięciu, pojedynczo i w większych grupach, na pole walki zaczęli powracać kawalerzyści z brygady Mangeta i sytuacja w centrum uległa ustabilizowaniu. Widząc to, Naczelnik zdecydował o ataku na kolumnę Pustowałowa. Jednak kilkukrotne szarże podejmowane przez brygadę Madalińskiego załamały się w salwowym ogniu karabinowym wroga, ten zaś zaczął zdobywać przewagę. Na pomoc chwiejącemu się skrzydłu Kościuszko rzucił kilka kompanii piechoty, co jednak nie uszło uwagi Tormasowa. Rosyjski generał, dostrzegając możliwość przełamania polskiej obrony na jej lewej flance, postanowił kosztem swojej kolumny wesprzeć Pustowałowa częścią jazdy. I ta właśnie decyzja w ostatecznym rozrachunku okazała się dla niego katastrofalna. Naczelnik szybko przeanalizował powstałą sytuację i doszedł do przekonania, że osłabione nieprzyjacielskie centrum i korzystająca z niedostatecznej osłony rosyjska artyleria

stwarzają wymarzone wręcz warunki do natychmiastowego uderzenia na białą broń. Nadeszła sposobna chwila, aby rzucić do walki chłopską milicję. Zbiegła się ona w czasie z meldunkiem o ukazaniu się w okolicy Wrocimowic, na wysokości krańca polskiego prawego skrzydła, nadciągających oddziałów Denisowa. Nie było chwili do stracenia. Należało działać bez zbędnej zwłoki i zdecydowanie. W obawie o utrzymanie frontu przez Madalińskiego Naczelnik rozkazał przesunąć większość piechoty na lewe skrzydło, powierzając komendę nad nim Zajączkowi, a sam uszykował kolumnę szturmową złożoną z pozostałych czterech kompanii piechoty i trzystu dwudziestu kosynierów. Oba jej skrzydła tworzyli regularni żołnierze, chłopcy zajmowali środek. Takie uformowanie kolumny mogło wynikać z obawy przed rozerwaniem szyku bądź dezercją nienawykłych do walki kosynierów. Do boju konno poprowadził ich osobiście Naczelnik, zdając sobie sprawę, że od skuteczności ataku może zależeć los bitwy. Podobno chwilę przed uderzeniem Kościuszko podjechał do kosynierów i wskazując ręką nieprzyjacielskie baterie, miał zakrzyknąć: „Zabrać mi chłopcy te armaty! Bóg i Ojczyzna! Naprzód, wiara!”. To, co się wydarzyło w ciągu kilkunastu następujących minut, przeszło do historii, zajmując w niej szczególne miejsce. Cel ataku — rosyjskie armaty — był oddalony o około 400 metrów. Polacy musieli się posuwać po otwartym opadającym ku wojskom nieprzyjacielskim terenie. Rosjanie zapewne w ogóle nie brali pod uwagę możliwości uderzenia w tym miejscu, czego dowodzi stopień ich zaskoczenia. Kolumna posuwająca się początkowo przyspieszonym krokiem, raz za razem wyrzucając z siebie karabinowe salwy, wywołała najpierw

konsternację, a zaraz potem panikę w szeregach nieprzyjaciela, kiedy na niespełna sto metrów od baterii, zagrzewając się nawzajem głośnymi okrzykami, kosynierzy biegiem rzucili się do szarży na rosyjskie armaty. Spanikowani artylerzyści zdołali oddać jedną lub dwie niezbyt celne salwy i już mieli przed sobą wywijającą kosami gromadę chłopów. Widok przymocowanych na sztorc kos sparaliżował Rosjan, nie samych tylko kanonierów, ale również osłaniających ich piechurów. Zapewne atak samej tylko regularnej piechoty z nastawionymi na karabiny bagnietami nie wywołałby takiego skutku. Do takiego widoku byli przyzwyczajeni; bagnet nie zawsze zabijał i można było się nim posługiwać na mniejszą odległość, zaś osadzone na długich drzewcach kosy pozwalały dosięgnąć z odległości kilku metrów, zaś ich ciosy bardzo często kończyły się śmiercią lub makabrycznymi ranami, zwykle prowadzącymi do zgonu w męczarniach. Dowiodły tego wcześniejsze wojny, już bowiem w poprzednim stuleciu podczas szwedzkiego potopu chłopscy kosynierzy pokazali, jak bardzo bywają niebezpieczni, i pamięć o ich straszliwych wyczynach przetrwała nie tylko wśród ówczesnych najeźdźców. Tymczasem pierwsza moskiewska bateria została zdobyta w mgnieniu oka. Pierwszy dopadł jej chłop z Rzędowic Wojciech Bartosz i czapką krakuską przykrył zapał jednej z armat, skutecznie uniemożliwiając jej odpalenie i oddanie strzału. Znane są nazwiska dwóch innych chłopów, którzy unieszkodliwili kolejną armatę: Stanisław Świstacki i Jędrzej Łakomski. Kosynierzy, pozostawiając za sobą zdobyte, pochłapane krwią działa i poszatkowane zwłoki kanonierów, rzucili się ku pozostałym armatom. I tu scenariusz krótkiego, gwałtownego starcia był



Bitwa pod Racławicami,
obraz Jana Matejki z 1888 roku.

podobny. Wrzask, szamotanina, grube przekleństwa i prośby o łaskę, zamierające na ustach carskich żołdatów wraz ze świstem kos gaszących w nich życie. Szalony atak kosynierów i makabryczny widok zdobytych przez nich stanowisk artyleryjskich nie mógł pozostać bez wpływu na resztę oddziałów Tormasowa. Część piechurów runęła do ucieczki, porzucając broń, pasy i tornistry i żadna siła nie mogła ich powstrzymać na dotychczasowych stanowiskach. Tym bardziej że do akcji weszła polska konnica, pogłębiając sukces osiągnięty przez kosynierów. Wykorzystując sposobny moment, kosynierzy wprzęgli się do armat i zaczęli je taszczyć ku polskim pozycjom. Widząc kompletne zachwianie rosyjskiego centrum, Kościuszko zarządził atak wszystkimi siłami. Doszło do beładnej walki pomiędzy mniejszymi i większymi liczebnie oddziałami. Tormasow robił, co mógł, aby powstrzymać natarcie Polaków, ściągnął konnicę z prawego skrzydła i rzucił ją do rozpaczliwego kontrataku, ale to nie wystarczyło. Jego centrum się rozpadło i jedyną szansę na doczekanie Denisowa dawała uparta walka na lewej flance przeciwnika. Dostrzegł to również Kościuszko i powtórnie poprowadził tam atak kosynierów, wykorzystując ich drugi rzut stojący dotychczas w rezerwie i niecierpliwie wyczekujący sygnału do walki. Chociaż nie zaznali jeszcze boju, same jego odgłosy na tyle rozgrzały tę grupę chłopów, że nie było potrzeby otaczania ich przymusową „opieką” regularnej piechoty. Druga partia chłopskiej milicji sprawiła się równie dzielnie jak pierwsza. Rosyjscy jeźdźcy, którzy twardo się jej opierali, nie wytrzymali jednak gwałtownego uderzenia i po zasłaniu pobojowiska zwałami trupów oraz utracie swojego dowódcy, podpułkownika Pustowałowa,

w przerażeniu podali tyły. W tym momencie, między godziną osiemną a dziewiętną na pole bitwy nadszedł Denisow. Sprawił jednak tylko tyle, że w szeregach kawalerii Mangeta znów pojawiły się oznaki paniki, świadcząc dosadnie o wyjątkowo miernej wartości bojowej tej jednostki. Pomimo tej okoliczności Denisow nie zdecydował się na włączenie do bitwy swoich oddziałów. W późniejszym meldunku wysłanym do Igelströma tłumaczył to przewagą wroga, nierozpoznanem jego siły i zapadającym zmrokiem. Może też przerażyła go wysokość strat poniesionych przez Tormasowa. Niewykluczone, że Denisow popełnił poważny błąd, nie przystępując do walki. Gdyby to uczynił, miałby szansę zapisać się w historii jako wódz, który stłumił powstanie i powstrzymał Kościuszkę podczas jego pierwszej bitwy w polu.

Rosjanie stracili około tysiąca zabitych i rannych, Polacy dwukrotnie mniej (w pobitewnym raporcie Kościuszko wskazał stu zabitych, ale Zajączek i Ślaski ocenili straty jako wyższe). Polacy zdobyli 11 armat i wzięli niewielu jeńców, w ich grupie czterech oficerów, co potwierdza zaciekłość boju; szczególnie srożyli się kosynierzy, którzy nie reagując na słowo *pardon* zabijali wszystkich napotkanych na swojej drodze Moskali. Ale zwycięska armia nie potrafiła utrzymać spójności. Oto bowiem zaraz po bitwie oddziały Kościuszki uległy rozprzężeniu. Pisze o tym, dość krytycznie nastawiony do Kościuszki, Adam Skałkowski w opracowaniu *Z dziejów insurekcji 1794 r.*: „Odniesiono zwycięstwo, lecz bezpośrednio po niem okazało się dowodnie, że ruchawką niepodobna sprostać wielkim zadaniom tej wojny, i rychło wystąpiła na jaw cała nierealność rachunku sił insurekcji.

Na samem polu bitewnem mała armia rewolucyjna rozprę-
gła się we wszystkich swych rodzajach broni” (pisownia
oryginalna — S. L.). Wielu, nie tylko chłopskich żołnierzy,
za nic mając rozkazy oficerów, rozbiegło się po pobojuwisku
w celu przeszukiwania poległych i rannych Rosjan. Zde-
zerterowała część milicji i ochotników. O ewentualnym
pościgu za przeciwnikiem, dającym możliwość jego zupeł-
nego zniszczenia, nie mogło być zatem mowy. Nie to było
jednak najgorsze. Wkrótce to Naczelnik i jego wojska po
utracie znacznej części swojej wartości bojowej z myśliwe-
go mogli się zamienić w ściganą zwierzynę. W powstałej
sytuacji, licząc się z powtórnyim skupieniem przez Deni-
sowa obu zgrupowań i ewentualnym ich wzmocnieniem
przez nadchodzące od strony Warszawy posiłki, Naczelnik
musiał zarządzić odwrót na Słomniki. Odniósł znaczny suk-
ces taktyczny, unikając najpierw wzięcia w kleszcze przez
Tormasowa i Denisowa, a potem, w krytycznym momencie
bitwy, decydując się na zastosowanie nowatorskiego i za-
skakującego manewru z wykorzystaniem masy chłopskich
kosynierów. Pokazał, że dożywającej swoich dni taktyce li-
nearnej, święcącej triumfy w czasach Fryderyka Wielkiego,
może być z powodzeniem przeciwstawione gwałtowne na-
tarcie piechoty wymieszanej z chłopską milicją, na pierwszy
rzut oka słabo uzbrojoną i niewyszkoloną, ale śmiertelnie
niebezpieczną dla wroga w bezpośrednim starciu. Równie
skutecznej jak w przypadku jej amerykańskiego odpowied-
nika. Jednak pod względem operacyjnym bitwa pod Racła-
wicami zakończyła się niepowodzeniem. Kościuszko nie był
w stanie rozbić wyraźnie słabszych oddziałów Tormasowa
ani zwycięsko uderzyć na Denisowa, a droga na Warszawę

została przed Naczelnikiem i jego wojskami zamknięta. Okazało się, że w skali ogólnostrategicznej i pod względem propagandowym pierwsza w powstaniu większa wygrana miała jednak nieocenione wręcz znaczenie. Wieść o batalii raclawickiej, również za sprawą skreślonego nazajutrz przez Naczelnika *Raportu Narodowi polskiemu o zwycięstwie pod Raclawicami*, rozniosła się po kraju, katalizując przebieg dalszych, sprzyjających rozszerzeniu się powstania zdarzeń. Akces do niego zgłaszały kolejne jednostki wojskowe na czele z dywizjami Wołyńską i Wielkopolską. Coraz mocniej wyczuwalny insurekcyjny niepokój, tu i ówdzie przybierający stan wrzenia, ogarniał okrojone terytorium Rzeczypospolitej, sięgając na Litwę i ziemie zabużańskie. Stało się oczywiste, że raclawickie zwycięstwo rozbudzi ducha walki i pozwoli wszystkim wahającym się podjąć decyzję o udziale w powstaniu. Jak odrobinę nazbyt poetycko napisał Dariusz Nawrot, „Lękliwi nabrali odwagi, a niepewni dali się ponieść wypadkom”; to zresztą jedno z ciekawszych zdań w jego biografii Kościuszki, zbyt mocno opartej na książce Szyndlera.

Dwa dni po bitwie kilku jej uczestników zostało uhonorowanych przez Naczelnika wyższymi szarżami oficerskimi. Zajączek i Madaliński mogli się cieszyć z awansu na generałów lejtnantów, Manget na generała majora, Małachowski na majora. Można zatem zadać pytanie, dlaczego w grupie wyróżnionych znalazł się Manget, którego konnica dwukrotnie, ulegając panice, opuszczała pole bitwy? Awans dowódcy jednostki o takich „dokonaniach” musiał siłą rzeczy nie tylko budzić wątpliwości, ale nieść za sobą bynajmniej nie mały ładunek demoralizacji. Wypada raz jeszcze powtórzyć:

czy była to nagroda za ucieczkę podkomendnych?! Nie wydaje się, aby Naczelnik podjął właściwą decyzję. Gdyby nawet Manget wykazał nadzwyczajną osobistą odwagę, o czym jednak brak informacji, i gdyby nawet nie miał najmniejszego wpływu na zachowanie dowodzonych przez siebie żołnierzy, które to przypuszczenie musiałoby jednak zakrawać na absurd, to z jego ewentualnym awansem Kościuszko powinien poczekać do innej okazji. Z mało zrozumiałego posunięcia wynikał bowiem dość logiczny i niespejnalnie pobudzający do heroizmu wniosek, że niekoniecznie nagradzane będą bohaterskie czyny. To nie był dobry sygnał wysłany żołnierzom. Jeżeli Kościuszko zamierzał zasłużyć na miano wybitnego wodza, a chociażby sprawiedliwego i rozsądnego dowódcy, to w sprawie Mangeta popełnił błąd. Niestety, miało ich być więcej, i to o dużo większym ciężarze gatunkowym. Gdyż Kościuszko w wielu sprawach geniuszem się jednak nie okazał.

Rosjanie na wszelkie sposoby chcieli pomniejszyć znaczenie tego, co się stało pod Raclawicami, i zdezwuować samą insurekcję. Ale robili to bez klasy, wypowiadając się z lekceważeniem i pogardą o przeciwniku i tym samym urągając samym sobie. Przepysznie brzmią meldunki Igelströma przekazywane Repninowi w związku z wydarzeniami pierwszych dni insurekcji. Wspomnił o nich Józef Hen w książce *Mój przyjaciel król*. Jako pierwszemu dostało się Madalińskiemu, który „[...] przechodząc przez nowe pruskie granice, poczynił w nich różne złodziejstwa”. W podobnym, lekceważącym tonie potraktowany został przez gubernatora Naczelnik, który „ogłosił tamże (tj. w Krakowie — S.L.) wolność na kształt francuskiej rewolucji”, a potem, pod

Raławicami, „przewodniczył wojsku i różnej hałastrze uzbrojonej w dzidy i topory, którą prowadzono do boju na wpeł pijaną”.

Po otrzymaniu informacji o nadciąganiu spod Częstochowy pruskiego korpusu generała Karla Philippa von Pollitza, liczącego około 6 tysięcy żołnierzy, Naczelnik pomaszerował ze Słomnik do leżącego o parę kilometrów od Krakowa Bosutowa, gdzie założył warowny obóz z ziemnymi wałami i stanowiskami dla armat. Natychmiast rozpoczęto też na jego terenie szkolić licznych rekrutów i uzupełniać istniejące jednostki, których stany zmniejszyły się w wyniku bitwy, chorób i dezercji. W Bosutowie pojawili się dezercerzy z armii pruskiej, spośród których wielu zostało nagrodzonych stopniami podoficerskimi. Kościuszko chyba nazbyt optymistycznie planował stworzenie w szybkim czasie trzech regimentów kosynierów, po 1500 ludzi każdy. Zdegustowany zachowaniem kawalerii pod Raławicami (co samo w sobie stanowi przyczynek do wywodów dotyczących awansu Mangeta), przeprowadził jej reorganizację i postanowił powołać konną milicję. Mieli ją tworzyć jeźdźcy wybierani z każdych 50 dymów, dobrze jeżdżący konno, uzbrojeni w pałasz, pikę i dwa pistolety. Dodatkowo armia została przebrojona; kawalerzystom odebrano karabiny i oddano je piechocie, chłopci zaś mieli odtąd walczyć wyłącznie przy użyciu kos. Jak bardzo oczekiwania Naczelnika rozmiękały się z rzeczywistością, pokazały następne dni. Taszycki i Śląski, pomimo energicznego objazdu pobliskich wsi, zdołali zwerbować jedynie około tysiąca chłopskich rekrutów. Posłużyli oni do sprytnego wojennego fortelu; Kościuszko nakazał umieścić ich w pobliżu granicy pruskiej,

sugerując przygotowania do wywołania powstania w Prusach Południowych. Takie zagrożenie miało spowodować w zamyśle Naczelnika przesunięcie w ten rejon dodatkowych sił dla ich osłony.

Sytuacja stawała się groźna, jednak w Krakowie jakby tego nie dostrzegano. Mieszkańcy fetowali zwycięstwo racławickie. Na ulice wyległy tłumy, aby oglądać defiladę wojska, zdobyczne armaty i moskiewskie trofea. Nawet widok garstki jeńców wywoływał odruchy spontanicznej radości. 7 kwietnia krakowianom pokazał się również Naczelnik. Był ubrany w chłopską sukmanę i krakuskę, a strój ten przywdział na specjalną okazję. W katedrze wawelskiej postanowił bowiem oddać honory i awansować na chorążych trzech bohaterskich chłopów, którym miał tak wiele do zawdzięczenia: Głowackiego, Łakomskiego i Świstackiego. Ale na tym splendory dla pierwszego z nich bynajmniej się nie skończyły. Kilka dni później wydał jedyną w swoim rodzaju *Odezwę o względy dla walecznego Wojciecha Głowackiego*. W tym niezwykłym akcie dotyczącym wymienionego z imienia i nazwiska człowieka — nie wszyscy w ówczesnej Polsce byłiby skłonni w pełni uznać za takiego dzielnego do szaleństwa chłopskiego kosyniera — zobowiązywał Komisję Porządkową do nakazania dziedzicowi Rzędowic roztoczenia opieki nad nowo mianowanym chorążym i jego najbliższymi. Kościuszko, niezależnie od treści odezwy, dodatkowo w oddzielnym dopisku zwrócił się również do starosty Antoniego Szujskiego o objęcie żony i dzieci Bartosza Głowackiego szczególną, jak się wyraził — ojcowską wręcz opieką. O dziwo, starosta nie ociągał się nawet chwili i już następnego dnia zadośćuczynił literze

odezwy i prośbie Naczelnika. Głowaccy zostali zwolnieni z pańszczyzny i otrzymali na własność zajmowaną zagrodę, oprócz tego żywy inwentarz i duży zapas różnych zbóż. Jak stwierdził Jan Pachonński w opracowaniu *Kościuszkona Ziemi Krakowskiej*, zarówno wyniesienie Głowackiego do stanu oficerskiego, jak i zachowanie Szujskiego „było dobrze pomyślanym posunięciem propagandowym dla pozyskania chłopów do walki przez ukazanie im doraźnych korzyści”. Dość cyniczne, ale prawdziwe; tego rodzaju przykłady miały przez kreację właściwego bohatera działać na wyobraźnię i dostarczyć mięsa armatniego, bez którego żadnej wojny wygrać się nie da. Odezwa dotycząca Głowackiego była jedną z kilku wydanych przez Naczelnika w Bosutowie. W *Odezwie za rodziną włościan do walczenia z nieprzyjaciółmi wezwanych* Kościuszkoo głaszał, że „masa ludu, ruszona do obrony kraju, wolna jest od wszelkiej robocizny póty, póki nazad do domów z tej usługi zwróconą nie będzie”. Dość wstrzeźliwy był Kościuszkowobec włościan, wiele im obiecując, ale też przypominając, że po powrocie z wojny będą na nich czekały obowiązki do odpracowania. Ciągłe towarzyszyła mu obawa przed rzuceniem hasła pełnej rewolucji społecznej na wzór francuskiej. Tak jakby był nieświadomy faktu, że w podobnych sytuacjach półśrodki mało kogo w pełni zadowalają i prowadzą zwykle do porażki. Chłopi liczyli na więcej, szlachta i dziedzice każde ulżenie ich doli przyjmowali z niechęcią. Komisja Porządkowa Województwa Krakowskiego bojkotowała odezwy, czy to opóźniając ich publikację, czy też wprowadzając w treści różnorakie zmiany. Naczelnik musiał osobiście doglądać wykonywania ogłoszonych przez siebie aktów

prawnych i podejmować interwencję w stosunku do ich przeciwników.

Kościuszko opuścił obóz w Bosutowie 24 kwietnia. Pojawiający się czasami domysł, że jego zamiarem był marsz na Warszawę, jest nietrafiony. Nie miał dość sił, aby przedrzeć się przez siły wroga. Pobyt w Bosutowie wyczerpał możliwości mobilizacyjne i aprowizacyjne; jego okolice zostały ogołocone z żywności i rekrutów. Ponadto Kościuszcze przyświecała myśl ożywienia ruchu powstańczego w Sandomierskiem i Lubelskiem. Naczelnik zatrzymał się na krótko w Igołomi, gdzie wypowiedział słynne zdanie umieszczone przez Henryka Mościckiego w jego *Wskazaniach obywatelskich*: „Nigdy by Polakom broń ich nieprzyjaciół straszna nie była, gdyby sami pomiędzy sobą zgodni, znali swą siłę i całej tej siły użyć umieli”. Dwa miesiące później, w obozie pod Gołkowem, miał swoją myśl uzupełnić słowami: „Jednością tylko możemy być silni”. We wspomnianej Igołomi, najpierw za pośrednictwem specjalnego kuriera Ojrzanowskiego, a zaraz po nim przybyłego do obozu pułkownika Michała Sokolnickiego, Kościuszko otrzymał długo wyczekiwaną wieść o wybuchu insurekcji w Warszawie. Jako taka była ona niezwykle krzepiąca i przyjął ją z wielką radością. Podobnej reakcji nie wywołały już dokumenty przywiezione przez Sokolnickiego, ale o tym będzie mowa później.

Jest bezsporne, że o powodzeniu insurekcji w jej pierwszym etapie, poza bitwą pod Raclawicami, zdecydowały dwa wydarzenia: udane powstania miejskie w Wilnie i Warszawie, gdzie zwycięstwo Kościuszki wywołało stan najwyższego napięcia. Szczególne znaczenie miało oswo-bodzenie stolicy Rzeczypospolitej, wielkiego rezerwuaru

ludnościowego i materialnego związanego z potencjałem wytwórczym i dysponującego największym w kraju składem broni. W 1792 roku zamieszkiwało ją około 115 tysięcy mieszkańców z liczną reprezentacją wykwalifikowanych rzemieślników, głównie szewców i krawców, ale też zdolnych do wykorzystania w produkcji zbrojeniowej, którzy podczas powstania mieli do odegrania niezwykle ważną rolę. Jak w książce *Warszawa w powstaniu kościuszkowskim* napisał Andrzej Zahorski, właśnie ona „[...] odegrała zasadniczą rolę. W ogniu walki tu właśnie dojrzewały najciekawsze, najbardziej postępowe programy polityczne, tu rozgrywały się główne walki decydujące o dziejach powstania i kraju. Zasoby miasta stanowiły najważniejszą szansę walczącej Polski”. Rosjanom ani współpracującym z nimi reneгатom skupionym wokół konfederacji targowickiej nie udało się w pełni rozbić tajnych sprzysiężeń działających w Warszawie i Wilnie ani spacyfikować stacjonujących w nich polskich oddziałów oraz rewolucyjnie nastawionych mieszkańców. Kiedy zaś dotarła do nich wieść o Raclawicach, pozostali na wolności spiskowcy zintensyfikowali przygotowania do powstania. Nic już nie mogło powstrzymać jego wybuchu w obu stolicach Rzeczypospolitej. Co najwyżej Rosjanie mogli osłabić jego siłę.

Warszawa przystąpiła do insurekcji w połowie kwietnia. Nim stała się wolna od zniechęconych Moskali, jej bruki spływały potokami krwi. Po fali marcowych aresztowań i rozbiciu przez policję sprzysiężenia mogło się wydawać, że stolica bez pomocy z zewnątrz nie jest zdolna do podjęcia walki z rosyjskim garnizonem. Ale mimo to wiadomość o starciu pod Raclawicami wywołała popłoch wśród



Hrabia Osip Andriejewicz Igelström. Jego decyzja o zmniejszeniu liczebności wojska polskiego o połowę stała się bezpośrednią przyczyną wybuchu powstania kościuszkowskiego. Obraz Dmitri'ego Levitzky'ego, lata 80. XVIII wieku.

carskich urzędników i dygnitarzy. Wiele dam zdecydowało się czym prędzej wyjechać do Rosji, a do miasta zaczęto ściągać z jego okolicy rosyjskie oddziały i zabezpieczać najważniejsze jego punkty. Ambasada zaczęła przypominać prawdziwą twierdzę; dojścia do niej zatarasowano potężnymi drewnianymi kłodami i szczelnie otoczono silnymi posterunkami wojska. Jej gospodarz, gubernator Igelström, nerwowo zareagował na niepowodzenie Tormasowa i Denissowa, ale szybko zdołał się otrząsnąć z depresji i myślał nawet o wyprowadzeniu części oddziałów z miasta i wyjściu Kościuszce naprzeciw, który według jego oceny zamierzał pomaszerować na stolicę. Ostatecznie pod wpływem szefa sztabu generała Jana Jakuba Pistora (Johanna Jakoba von Pistor) porzucił ten zamiar i osłonę Warszawy zlecił niewielkiemu liczebnie korpusowi generała Aleksieja Chruszczowa, wysyłając go w rejon Pilicy z zadaniem podjęcia obserwacji ruchów wojsk Naczelnika. W przypadku próby sforsowania rzeki przez wroga Chruszczow miał współdziałać z oddziałami pruskimi stacjonującymi pod Rawą i Inowłodzem.

Gubernator dysponował około 8 tysiącami żołnierzy, piechoty i jazdy, oraz 34 armatami. W chwili, kiedy Rosjanie i targowiczanie rozważali redukcję polskiej armii do zaledwie 15 tysięcy ludzi, była to ogromna siła. Igelström ujął miasto w żelazne szpony nadzoru policyjnego. Po Warszawie rozbiegli się zawodowi szpiedzy, wsparci przez gromadę chciwych rodzimych donosicieli, hojnie opłaconych carskim złotem. Prasę poddano ścisłej cenzurze, blokując publikację jakichkolwiek szkodliwych w mniemaniu gubernatora tekstów i odcinając mieszkańców od wiadomości z południa kraju. Jeżeli nawet w prasie przebijały się jakieś